

# Gołębiowski, Stefan

---

Ja, nauczyciel, posłuję ziemi  
jurandowej, "Życie Literackie" nr 35  
(1745) : [przedruk]

---

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 25, 146-155

---

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## JA, NAUCZYCIEL, POSŁUJĘ ZIEMI JURANDOWEJ

„Życie Literackie”, nr 35 (1745)

15 lipca minęła 575. rocznica bitwy pod Grunwaldem, 41 lat temu, w przeddzień rocznicy, od pół przyszła do nas Polska Ludowa z Lipcowym Manifestem. Dwie przełomowe, zwycięskie daty w dziejach naporu krzyżacko-germańskiego, co się zaczął jeszcze w czasach piastowskich, a skończył dopiero po II wojnie światowej powrotem ziem odzyskanych. Z krwi i znoju.

Ze znoju pracy w odbudowie i budowie dawnego pogranicza za-borczego Ziemi Jurandowej, mazowieckiej. Zaczęła się ta praca od gimnazjum i liceum lat tajnego nauczania w Ostpreussen, we wszystkich klasach prócz pierwszej ze stałą grupą uczniów dziesięciu i płynną drugich dziesięciu.

Nie widzę w tych latach, krwią mego młodszego brata okupionych, własnej zasługi. Ratowałem swoją i pozostałej rodziny egzystencję, a ocalałem bez żadnego racjonalnego powodu, być może dzięki wrodzonej intuicji.

I z tej już niepodległej intuicji wyszła inicjatywa otwarcia gminnego (od szczęśliwej gminy Orkana) gimnazjum dzięki spontanicznemu poparciu miejscowego społeczeństwa z wójtem St. Dyksińskim, ludowym działaczem i następnie literatem, przy decydującym współdziałaniu inspektoratu i zwłaszcza kuratorium. W karczmie mienia porzuconego Nur für Deutsche.

Nie będę dziejów tej szkoły opisywał. Rosła ona dzięki przyległym i bliskim budynkom internackim z mienia porzuconego. I dzięki ocalałym niezrównanym nauczycielom przeżyłem w niej z młodzieżą najpiękniejsze lata.

W 1950 pierwsze matury i upaństwowienie przyszłego Liceum Ogólnokształcącego im. Wł. Orkana po połączeniu bezinwestycyjnym budynkiem kompleksowych przybudówek, w których jak żółw w skorupie zamknąłem się jako dyrektor, polonista klas ostatnich i z zamiłowania nauczyciel łaciny.

Tak doszedłem do roku 1955, kiedy po III Plenum jako przewodniczący miejscowego FJN, wbrew mej opozycji ze względu na ułomne nogi, a potem ze względu na te moje argumentowe nogi, przyjąłem kandydaturę na radnego WRN i uzyskałem mandat radnego.

Pierwsza sesja po wyborach. Z braku własnej sali posiedzeń odbyła się na Spasowskiego, w reprezentacyjnej sali ZNP. Na porządku dziennym wybór władz, ukonstytuowanie się prezydium, założenia planu na rok przyszły z uwzględnieniem postulatów terenowych i, oczywiście, po nich dyskusja.

Nie mam zamiaru pisać streszczenia protokołu i tylko uwzględnię własny głos, po 25 minutach dla moich przedmówców, ograniczony do 5 minut. Zapisalem się do dyskusji jako jeden z pierwszych, a zostałem zepchnięty prawie że na sam koniec.

Sala niemożliwie natłoczona. Duszno. Dym od papierosów coraz gęstszy. Jakże ten dym podobny do mgły z bagien naszych, myślałem. Oby w nim się nie zgubić. W czasie zmieścić moje 5 minut przed 12.

Nareszcie słyszę swoje imię własne i nazwisko. Z trudem w zatłoczonym przejściu przepycham się w stronę scenicznego podium. Z nieodłączną laską wstępuję na stopnie. Staję na trybunie bez żadnej kartki.

— Wysoka Rado! „Piękna nasza Polska cała, piękna, żyzna i nie-mała! Wiele krain, wiele ludów, wiele stolic, wiele cudów, lecz najmil-sze i najzdrowsze przecież człeku jest Mazowsze!”

Okrągły chlebowy stół i zarazem obronna tarcza województwa z syrenią tarczą Stolicy — Mazowsze najpiękniejsze, być może, bo leży nam na sercu, lecz czy najzdrowsze, proszę spojrzeć (tu nieco w bok wyszedłem przed trybunę i z tymi słowami do niej wróciłem):

Z tymi nogami zostałem wybrany jako radny pod zawołaniem: idź, krzy-wymi nogami agituj na nasze bagna i moczary doliny rzeki Wkry, ongiś leśnej, tratwami spławnej, sławnej z ryb i raków, co poszły w przysłowie.

Ta nizinna dółska Wkra przez rzeczne namuły i przez niedorzeczną vegetację, gdy lustro wody razem z dnem podniosła, straciła w zielonej katarakcie oczy błękitne. Zyskała za to pałki trzciny i miecze tataraków.

Tę zieleń rzeczną z łąkami doliny, gdyby jakimś cudem można było podnieść w górę, toby się okazało, że rzeka płynie po całej doli-nie, a łąki to tylko kożuch traw kryjący pod sobą wodną puchlinę.

Wkra, Wkra, Wkra, niedarmo kraczą nad nią wrony: kra, kra, kra... Gapami je u nas zowią, bo w sposób nieludzki przegapiliśmy czwarty dzień stworzenia, w którym ziemia została oddzielona od wody. W ten sposób za mazowieckimi piaskami powstało naszej doliny mazowieckie Polesie.

Ludzie, szczególnie na wsi, coraz częściej się skarżą na niedobór wody, a tu u nas panuje takie niepoczytalne marnotrawstwo. Toteż woda za niedocenicenie jej dobrodziejstw w różny sposób na nas mści się.

Ona decyduje o raz w roku koszonych kwaśnych łąkach, ona zalewa miedze w polach i świeci między zagonami, ona bryzga w oczy odpryskami kałuż, ona w błocie dróg się paprze. Ona sprawia, że chudooba chudością swoją daje się we znaki. Ryk bydła i walenie kopyt w ściany o tym świadczą.

A cóż mówić o zabiedzonych ludziach. Ośrodki chorób panują u nas nad ośrodkami zdrowia. A cóż mówić o śmiertelności dzieci i złym stanie zdrowia młodzieży z gminnego Liceum im. Wł. Orkana, patrona wiejskiej biedoty. To przeze mnie z gór trafił do łącznych bagien. Ręce opadają. Bez regulacji rzeki Wkry daremne żale, próżny trud...

Stoimy przed zagadnieniem kompleksowym, podkreślam, bo decyduje ono o życiu doliny Wkry. Czas najwyższy przez regulację rzeki, przez zagospodarowanie doliny i przez komasację pól i łąk wyzwolić dolinę z mgieł i z oparów bagien, które ją, jak tę salę zadymloną, przysłaniają.

Z hucznymi oklaskami powolutku zeszedłem w dół po stopniach i ruszyłem szpalerem, jaki nieoczekiwanie przede mną się otworzył od trybuny aż do miejsca mego na sali. Odetchnąłem z ulgą.

Na pewno mówiłem nie bez inspiracji z pogranicza twórczego, jednak niezupełnie tymi słowami, co się po latach we mnie odezwały. Miały one swoją wagę rzeczową i formalną, lecz o wartości mego wystąpienia zdecydowali ci, co za mną stali. To przez nich wyskoczyło ze mnie słowo kompleksowe. We właściwej chwili i w odpowiednim czasie.

Po tych pięciu przełomowych minutach, jedynych w moim życiu, i po skończonej sesji, kiedy zbliżyłem się do schodów bez poręczy, podbiegli do mnie z jednej i drugiej strony różnego wieku radni. Jakbym był ślepcem wychodzącym z senatu rzymskiego — nie bez uśmiechu dwuznacznego — wiedziony z całą ostrożnością, żebym się nie potknął i nie upadł na schodach. W górę z trudem szedłem sam syzyfowym krokiem, a w dół wracałem do swoich wsparty na rodaków ramionach. Niosłem ziomkom słowa, co stały się czynem i w latach moich poselskich zasadniczo się urzeczywistnił.

\*

Ziemia mojej doliny, od Myślińska zamyślińska, w siedmiu ramionach, ostatnich, Wkry tworzyła Kępę Gołuską, na której prawdopodobnie Sienkiewicz jako gość obywatela ziemskiego Przybojewskiego zlokalizował Spychów. Rosły na niej dęby pamiętające jeszcze cza-

sy pogańskie, wycięte przez Niemców w czasie pierwszej wojny światowej. Dęby, co jeszcze odzywają się w nazwach Dąbrówki, Dąbrowa, Dębok i w moim rodzinnym zapleczu Dębowiec. W ich otoczeniu znajdowały się nie pola lecz łąki i do dziś 30 procent to łąki. To ich kwiecie w sianokosach ostatnimi pachnie słowami Danuśki. Od czasów poprzedzających Grunwald po ostatni najazd hitlerowski.

Partyzanci krwią własną ją ochrzcili i nazwali Wyspą Juranda, a ja w ślad za nimi od wyspy nazwałem dolinę ziemi nadwkrzańskiej Ziemią Jurandową, bo nie miała ona światła oczu oświeconych, władzy rękoczynnej od działania odciętej i własnego języka, żeby ta Ziemia mogła przemówić.

Mimo wykształcenia wyższego, pierwszego w moim pokoleniu wielkorodzinnym, jak już nadmieniałem, nie tyle kieruję się intelektem, ile intuicją, z którą dobrze trafiłem do Polski Ludowej właśnie przez Juranda. Zacząłem od oczu, nie tych zwykłych, bo w moim 85 roku życia jeszcze czytam bez okularów, lecz tych moich zawodowych, w których się kryją źródła oświaty, o wyższych niż podstawowa aspiracjach.

Nie były one wielkie. W związku z tym, żeby zdobyć nowych uczniów, wywalczyłem dla nich internat, który za radą kuratorium porzuciłem na rzecz budowy liceum. I dopiero zadziałał powiat, który postanowił przenieść szkołę do swego centrum...

Rozgorzała walka i niewiele brakowało, a po dwudziestu latach utracilibyśmy liceum, gdyby nie sekretarz M. Jaworski. Ten sprawę załatwił krótko: niech powiatowa bieda nie odbiera nędzy tej inwestycji. Przeciż za tę szkołę jej dyrektor otrzymał tytuł Zasłużonego Nauczyciela PRL. Było to jednak zwycięstwo Pyrusowe, bo już nie ja wkroczyłem do nowej szkoły przeze mnie wywalczonej, jakbym jedynie do starej należał, ponieważ ona była w pierwszych dwudziestu latach moim najukochańszym dzieckiem. Tak się młodość odplaca starości.

Kontakt jednak pozaszkolnego nie zerwałem dzięki memu polonistycznemu księgozbiorowi, obecnie liczącemu przeszło 7500 woluminów należących do czytelni przy miejscowym Muzeum Regionalnym. Korzysta z niej przede wszystkim liceum dzięki polonistce dyrektorowi, przy nieszczególnej polonistce, jeszcze bez wyraźnej koncepcji. To za mało, za mało. Chciałbym, żeby to była placówka o szerszym znaczeniu, propagująca kult języka ojczystego w mowie i piśmie, w powiązaniu z zamiłowaniem do książki przez polonistów i nie tylko polonistów umiejętnie propagowanej.

Tymczasem drugie dwadzieścia lat w nowym budynku liceum w wychowaniu i nauczaniu nie jest zachęcające. Może nie bez przyczyny, bo miejscowa szkoła zbiorcza pracuje w takich warunkach, że trudno mówić o normalnym naborze przy kadrze niemało pozostawiającej do życzenia.

Długo się starałem, żeby stan ten poprawić i dopiero w czasie ostatniej mojej kadencji jako radnego seniora, głównie dzięki niezawodnemu wojewodzie, już trzy lata temu szkoła znalazła się w planie i jej budowa różnie posuwa się naprzód. I wszystko wskazuje na to, że za rok zostaną oddane do użytku: przedszkole, trzy budynki podstawowej szkoły zbiorczej, dom mieszkalny dla nauczycieli i w projekcie wojewody internat.

To są te naoczne w oświacie widzenia. Z kolei przechodzę nie tylko do odciętej ręki Juranda, ale i do drugiej, działającej na oślep w poszukiwaniu drogi. Nie jednej, lecz dwóch: płynącej i stałej.

Ta pierwsza, rzeczna, zaczęła się od tych moich pięciu minut przemowowych. Wstąpiłem do komisji rolnictwa i leśnictwa i przez podkomisję zdołałem na Nowogrodzkiej, nogom przeciwnej, wielopiętrowej, umieścić Wkrę w planowaniu i wysunąć w regulacji na plan pierwszy. Gdzie trzeba było mojej inicjatywy, tam zawsze byłem obecny. Mimo to jednak bez inżynierów, jakich ze świecą szukać, nie wiem, czy podołałbym zadaniu. Wszystko dobrze szło do czasu, kiedy planowanie przeszło do szczybla najwyższego. Na szczęście zostałem posłem i w Ministerstwie Rolnictwa znalazłem poparcie. W związku z tym po różnych oporach roboty znów ruszyły wbrew asekuranctwu planistów, co starali się datę przyjęcia planu odłożyć na później. Wystarczyło jednak moje kulawe pojawienie się, a plan znalazł się na porządku dziennym i w pół godziny został zaakceptowany.

O dalszym ciągu prac, mimo różnych perturbacji, nie piszę. Były to przecież sprawy niełatwe i skomplikowane, większe od Biezan, mniejsze od Poniatowa, zakończone przy syfonie, gdzie się polały łyzy rzęsiste nie tylko deszczu. Po nim dopiero nastąpiło zagospodarowanie łąk i pastwisk.

Po tej płynnej drodze doszły do biegu drogi stałe. W związku z tym jako poseł wstąpiłem do komisji komunikacji i łączności, żeby po bezskutecznych usiłowaniach zdobycia kolei dla mego bezkolejowego powiatu, zamiast z kolejarzami, związać się z drogowcami, najpierw z Zarządu Dróg Państwowych asfaltowych, które by mogły w trakcji samochodowej zastąpić kolej, żeby następnie przejść do dróg lokalnych, powiatowych.

I tu dopiero przez czyny społeczne trafiłem w dziesiątkę, gdyż powiat tymi drogami szczególnie się zainteresował. Tym bardziej, że chłopci do tych czynów włączyli się spontanicznie. W stosunku odwrotnie proporcjonalnym wsie od posażnej matki i bezposażne od macochy.

Na tym podłożu wyrosła moja pasja społeczna tego rodzaju, że powiat mój z ostatniego w ciągu dwudziestu lat wysunął się na czoło do podziwu godnego, z wykrzyknikiem! Po trzykroć zdobył wreszcie Sztandar Drogowy na własność. Przez drogi zamykające i otwierające tysiąclecie dla ludzi i do ludzi. Nie od pól polskie, lecz od Polski Ludowej.

Drogi rosły i w ślad za nimi biegly niebieskie autobusy zachęcające do nowych czynów społecznych. Głównie dzięki ludziom ze wsi i drogowcom, którzy mnie wyróżnili odznaką Zasłużonego Drogowca.

\*

Godzina 3.45, budzi mnie burczymucha: Ładnieś wypełnił święto Lipcowe, na które nikt cię nie zaprosił. Wyobcowałeś się jako wychowawca i działacz w tym swoim roku jubileuszowym ze względu na wiek i stan zdrowia, więc województwo, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, ze swoim niedawnym seniorem przestało się liczyć. Przecież liczą się głównie młodzi, a im kto starszy, tym mniej się liczy, bez względu na nie wiem już którą młodość nie tylko umysłową lecz, co ważniejsze, emocjonalną.

Czterdzieści lipców we mnie manifestacyjnie się odezwało i jakby jednym głosem przemówiło ze wzruszeniem. Przy nieobecności — obecnością kolorową telewizyjnego przekazu zapewniającego mi uczestnictwo.

Święto u stóp ruin sprzed 40-lecia z płonąącym zniczem przy Grobie Nieznanego Żołnierza — przez wieńce chwały składane przy salwach armatnich i dźwięku orkiestr, bez trybuny, z władzami stojącymi w szeregu, z zapleczem stolicy i ludu warszawskiego odbierającymi defiladę — jeśli czym się wyróżniało, to jedynie skromnością podziwu godną.

A potem co za manifestowana radość bez ostatnich manifestowanych protestów. Z ulic przeniesiona na place i do parków nie tylko stolicy, lecz i całego kraju. To naprawdę ja także brałem udział w tym święcie lipcowym. I ja tam byłem, miód i wino piłem.

\*

A jednak jeszcze wracam do mojej Ziemi Jurandowej przez język, w którym nie mogę odnaleźć własnego w tej naszej Wieży Babel, co w dzień przydaje nam chleba powszedniego, żeby nocą prowadzić długie rodaków rozmowy. Czemu Matka Boska na Wawelskim Zamku Manifestu nie pisze?

Od czasów romantyzmu ten język należał do poezji i był arką przysięgi między dawnymi i młodszymi laty, a tymczasem w nagrodach tylko ministra w tym roku jubileuszowym poezja nie została wyróżniona w swych najwyższych osiągnięciach, a jedna z nich została przyznana w kontekście kontrowersyjnym wobec „Kultury”. I w prozie, nie wiem dlaczego, pominięto Wiesława Myśliwskiego *Kamień na kamieniu*, chłopskiego nurtu najlepszą powieść 40-lecia.

W powojennej poezji najpierw ujawnili się poeci w pełni sił twórczych — Przyboś, Jastrun, Miłosz, Ważyk, Piętaś, Śpiewak, wysunął się na czoło skamandrytów Iwaszkiewicz, wrócili z zagranicy Tuwim, Broniewski, Gałczyński, Słonimski, rewelacyjnie zadebiutował Różewicz. Te dobre początki, niestety, zahamował regres socrealistyczny, po którym jednak przyszedł rok 1956, kiedy objawili się poeci tej miary co Szymborska, Herbert, Białoszewski, Grochowiak, Nowak et consortes. To były twórcze indywidualności o różnej skali talentu, z przebicciem i bez przebiccia, objawień częściowo spełnionych, a mimo to przez koteryjną krytykę skazanych na zapomnienie.

Jest to świat poetycki, w którym się można jako tako zorientować. Przyjmijmy, dajmy na to, stu, za którymi kryją się setki piszących jeden tasiemcowy wiersz uduchowiony, wyróżniony drukiem bez zainteresowania.

W związku z tym i nie tylko z tym nastąpiła u nas deprecjacja poezji, dezorientująca krytyków i zachęcająca pseudozoilów do krytyki szyderczej, a nawet szkalującej jak w *Rzeczach najgorszych*.

Słowu „rzecz” patronuje rzeczownik i z nim się wiąże Rzeczpospolita. Norwidowi zawdzięczamy czarnoleską rzecz w znaczeniu liry. Rzecz przeszła do Tuwima *Rzeczy czarnoleskiej* i do Jastruna *Rzeczy ludzkiej*.

Ta rzecz użyta w liczbie pojedynczej w liczbie mnogiej zmienia całkowicie znaczenie: rzecz twórcza, osobowa, staje się w rzeczach wytwórczych wartością przedmiotową, a więc buble.

Nazywam tych młodych krytyków pseudozoilami, bo żerować jedynie na słabych wierszach to nadużycie, zwłaszcza jeśli ono się łączy z politycznie negatywnymi przekonaniami poety. Wówczas dopiero ujawniają się *Rzeczy najgorsze*: oliwa niesprawiedliwa nachalnie na wierzch wypływa.

Przez taką czystkę nie oczyścimy poezji. Kadzenia antykadzeniem nie przytlumimy, jak jednej ekstremy ekstremą drugą.



\*

Mimo to poezja 40-lecia może się poszczycić wybitnymi indywidualnościami i niemałymi osiągnięciami artystycznymi w awangardowej poezji ekskluzywnej i bardziej unowocześnionej tradycyjnej. Cóż z tego, kiedy perspektywy na najbliższe 50-lecie wcale nie są zachęcające. Wielu luminarzy i znanych poetów starszego pokolenia odeszło bezpowrotnie, a z drugiego po nich Grochowiak i Białoszewski. Zamilkł jako poeta Różewicz, odsunęli się w splendid isolation Szymborska i Herbert. W zмовie milczenia zamknęli się inni nieprzejednani.

A mimo to wierszy sypiących się spod rękawa nie brak. Rosną przy tegorocznej aurze jak grzyby po deszczu. Mamy ich w tygodnikach i w miesięcznikach więcej niż pod dostatkiem. Pełno ich, a jakby żadnego nie było.

Wątpię czy pomoże skalpowanie. Uporczywych maniaków nie odstraszy, a poszukujących własnej drogi może zrazić i odstraszyć, gdyż ośmieszanie jest bronią gorszą od krytyki, nawet surowej.

Dwutomowa encyklopedia literatury w tym roku wydana wielu poetów ledwie zasygnalizowała, a innych, mniej lub więcej znanych, zupełnie pominęła, bo PAN ich po pańsku potraktował.

Warto, żeby wśród krytyków znaleźli się tacy, którzy by z tej poezji przemilczanej wybrali wiersze najlepsze i wydali antologię tej liryki jako aneks do ww. encyklopedii, pro bono poetarum.

\*

Na licencję poetycką powoływał się już Horacy, ograniczony w swoim antycznym klasycyzmie, a cóż mówić o poetach nowoczesnych korzystających z większych swobód poetyckich, w których, zwłaszcza u debiutantów, w grę wchodzi ryzyko, a z nim wulgaryzm, turpizm i nudyzm aż do znudzenia w powiązaniu z obsesjami seksualnymi.

To jedna licencja w odniesieniu do poezji, ale przy niej również powinna zaistnieć w uprawnieniach poetów i artystów. Przecież to są twórcy, a nie wytwórcy. Ich egzystencja wiąże się z przyszłością, nie raz z przymrużeniem oka w odniesieniu do ich doczesności. Tego wymownym przykładem pierwszy nowożytny poeta francuski Franciszek Villon, rzezimieszek.

W związku z tym proponuję, żeby ZLP, który pozwala korzystać ze swoich księgozbiorów i usług b. członkom Związku, powołał do życia sekcję pomocy koleżeńskiej, zwłaszcza w sprawach literackich i pośredniczących.

Udział w wyborach mógłby być takim naszym krokiem pojednawczym, tym bardziej, że od czasów pamiętnych, gomulkowski, kiedy zostałem wybrany posłem, to jest drugie posunięcie o charakterze bardziej demokratycznym. Ostatni Sejm ma żywot najdłuższy, ze względu na panującą sytuację w kraju z konieczności proteuszowym. Tego dowodem wielość ustaw, w których nie brak i takich, co jedno drugim przeczą. O tym również decydował dobór posłów według klucza i według zasług w większości, bardziej politycznych niż kwalifikacyjnych.

Przy założeniach nowych, demokratycznych, w doborze kandydatów opierających się na długotrwałych konsultacjach, spodziewać się należy, że sejm nowej kadencji będzie mniej uchwałiał ustaw workowych i bardziej ograniczy kompetencje resortów odgórnych.

Dzięki tym posunięciom spodziewać się należy, że się podniesie wyborcza frekwencja i osłabnie destabilizacja, która coraz bardziej traci grunt pod nogami na rzecz stabilizacji i pozjazdowej reformy.

Jeśli sytuację zdołamy w kraju należycie opanować, to i łatwiej nam przyjdzie spłacić długi. Będzie to zgodne z moratorium radzieckim w całym tego słowa znaczeniu, gdyż bez umocnienia pokoju nie można racjonalnie myśleć o lepszej przyszłości.

Moratorium o wstrzymaniu prób z bronią jądrową w dniu zagłady Hiroshimy, od 6 sierpnia do końca obecnego roku z możliwością przedłużenia, jest powrotnym już czterdziestym, ostrzeżeniem. Jest memento mori. Stany Zjednoczone przez swój imperializm kapitałnie bronią multimilionerów zagrożonych w swoich bogactwach i dlatego ratunek widzą nade wszystko w zbrojeniach. Na nich w zjednoczeniu z europejskimi sojusznikami budują doraźny dobrobyt. Dla ich zbrojeń za mało ziemi, sięgają do nieba. Niebo się broni. Ich prezydent w tym wróżebnym miesiącu sięgnął do Zodiaku i nie mógł wyżej. Rak go zatrzymał. Nic to. Po dwóch operacjach siły nabrał i z gwiazdzistym sztandarem ze zbrojeniami ruszył ad astra.

Wierzyć się nie chce. Przecież para bellum to nie filmowe parabelum. Dwie wojny krwiożercze i zapowiedź trzeciej makabrycznej, z dance macabre katastroficznym. Marność nad marnościami z jednej strony, a z drugiej nadczłowiek z aspiracjami w różnych wcieleniach.

Całe szczęście, że nikt nie jest i nie będzie nigdy, póki ziemia żyje, nieśmiertelny. Dzięki temu Wolność, Równość i Braterstwo wiążemy z trzema nieśmiertelnymi — Pokój, Mądrość i Sprawiedliwość.

Wierzę, że w człowieku wątpliwym, doczesnym, zwycięży człowiek wieczny, niewątpliwy. To mówi sumienie we mnie i nie tylko we mnie, ale również we wszystkich ludziach dobrej woli.

\*

W tym ostatnim dniu lipca pamięcią wracam wstecz do przedrocznicowego roku 1914 pierwszej wojny światowej i w trzydzieści lat potem do powstania, w którym warszawska Nike w upadku podnosi miecz i bezbronna pięcioma palcami strzela w niebo uzbrojone. Wracam i powracam do jubileuszowego 40-lecia, które otwierają i zamykają trzy pięciolatki jubileuszowe.

Wbrew sprzed wieku czarnowidzom, secesyjnym schyłkowcom, dekadentom, wielbicielom niegdysiejszych staroci, opowiadam się raczej za reformatorskim Wiekiem Oświecenia. W pierwszej pięciolatce za reform naszych umocnieniem takim, żeby po niej mogły dla naszej i nie naszej młodości przyjść i wejść w życie pięciolatki Oświaty i Zdrowia. Wiek pierwszy i trzeci z tym zwraca się do drugiego, decydującego.

Urodziłem się w Judymowych dwóch zerach — data dla dowcipów wątpliwej jakości — i na pewno nie wejdem do trzech zer następnego tysiąclecia, a jednak żyję wiarą, że to będzie tysiąclecie wyższej kultury już w pierwszym jego stuleciu. W miastach i w ośrodkach przemysłowych technicznej i naukowo-humanistycznej, a na prowincji żyjącej z ziemi i z ziemią związanej — realistycznej i tradycyjno-humanistycznej.

Piszę to z zapadłej wiejsko-miejskiej, dawnej i obecnej Ziemi Jurandowej, wbrew Lanzmannom, co Jurandowi przypisują własny język poniżający, żeby w małych prawdach ukryć kłamstwo rzucające się w oczy.

**Autor urodził się 25 XI 1900 w Bieżuniu k. Żuromina. W 1936 debiutował w „Skamandrze” jako poeta, w następnym roku ukazał się jego pierwszy tom wierszy *Kłosa słońca*. Po wojnie opublikował kilkanaście tomów wierszy i opowiadań. Nauczyciel, działacz społeczny, wybitny poeta, był także posłem na Sejm.**